

*Krystyna Perepeczo*

## MUSZYŃSKICH WSPOMNIENIŃ CIĄG DALSZY

Po przeczytaniu artykułu pani Janiny Szczeliny z d. Aleksander w zeszłorocznym „Almanachu Muszyny”<sup>1</sup> na temat naszej szkoły i organizowanych przez nauczycieli wycieczek, przeglądałam swoje zdjęcia z tamtych lat.

Moi synowie namówili mnie, bym zrobiła „dopisek” do tych wspomnień, bo – jak to określił jeden z nich – takie reminiscencje są potrzebne obecnemu pokoleniu jako „dokument czasu”. Dokument pokazujący, w jakich warunkach zdobywaliśmy wiedzę – my, pokolenie powojenne.

Kiedy patrzę na dzisiejszą młodzież, która uważa naukę za zło konieczne, a wszystko ma podane na tacy – podręczniki, komputery, komórki, telewizję – trochę mi jej żal. My byliśmy spragnieni wiedzy. Zdobywaliśmy ją w trudnych warunkach, różnych pomieszczeniach zastępczych, bez książek, encyklopedii, przyborów szkolnych.

Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne w Muszynie zorganizowano w dwupiętrowym domu przy ul. Piłsudskiego. Tak się złożyło, że mieszkaliśmy obok, a mama dostała pracę jako woźna. My – trzy córki, uczennice tej szkoły – musiałyśmy mamie pomagać. Paliło się w piecach drewnem, bo węgla u nas wtedy nie było. Codziennie trzeba było oczyścić około dwudziestu pieców, przygotować rozpałkę, nanosić drew. A rano, o godzinie czwartej – piątej, rozpalać po kolei w każdym piecu, potem podłożyć drewno, no i posprzątać, by na ósmą było ciepło i czysto. Wszystkie trzy „wykorzystywałyśmy” naszych kolegów i sympatie do pomocy. Nasz dom był zawsze pełen młodzieży.

Mimo intensywnej nauki lubiliśmy się bawić. Organizowaliśmy wieczorki, prywatki, potańcówki przy patefonie, chodziliśmy nawet na większe zabawy. Ale zawsze towarzyszyła nam osoba starsza, tzw. przyzwoitka. Często była nią nasza mama – taki był zwyczaj. Dzisiaj młodzież ma swobodę – chodzi sama do dyskotek, klubów, gdzie panuje tłok, gra zbyt głośna muzyka, czasem pojawiają się i narkotyki.

Dzisiaj mam ponad 78 lat i z rozrzewnieniem wspominam tamte lata. Nie tylko dlatego, że wtedy byłam młoda, że skończyła się wojna, ale inaczej nas uczono. Nawet bawiąc wpajano nam „zachowanie na co dzień”. Kto z nas odważyłby się zakląć przy dorosłym? W ogóle używać „brzydkich” słów? Koledzy wobec koleżanek byli szarmanccy. Dziś młodzież nie zna określenia „kindersztuba”. Jak się słucha idących, rozmawiających – to uszy puchną.

Nasi szkolni profesorowie byli dla nas wzorem postępowania. Okazywaliśmy im szacunek nie z musu, ale dlatego, że ich ceniliśmy i lubili. Organizowali dla nas wiele

<sup>1</sup> Janina Aleksander Szczelinowa, *Poznawanie świata. Wspomnienia z czasów nauki w powojennej Muszynie*, „Almanach Muszyny” 2008, s. 251–253.

wspianiałych wycieczek krajoznawczych, jak na przykład tę w Pieniny, którą opisała pani Aleksander. Odbyła się ona już 29 maja 1945 r. (wiem dzięki dacie, którą utrwaliłam na zdjęciu). Po konsultacji z Janiną Dzierżanowską uznałam jednak, że trasa wiodła z Piwnicznej przez Jaworki, a z powrotem przez Prehybę do Rytra.

Jakże pamiętam to opisane przez autorkę przejście przez Prehybę! Razem ze Stachą Łuczyńską-Rybińską zeszyliśmy ze ścieżki „za potrzebą” i wtedy stanęliśmy oko w oko z... nieznajomym, kryjącym się za drzewem, z palcem na ustach w geście: „ciiicho”. Ależ nam serca były ze strachu. A potem to spotkanie z bacą, który patrząc na nas, tak bardzo już zmęczonych, na pytanie prof. Wasko, czy daleko jeszcze do Szczawnicy, powiedział: „Ano będzie jakiś kilometr z hakiem”. Ten hak miał parę kilometrów! Ale jego słowa dodały nam otuchy i sił, by iść dalej. Potem zdobycie Trzech Koron – nie wiem,



Apel poranny na obozie harcerskim w Jamnicy (1947 r.)

dłaczego podpisałam fotografię upamiętniającą ten wyczyn: „Glorietka”<sup>2</sup>. Czy tak nazywał się jeden z tych szczytów – nie pamiętam. Potem była Sokolica, no i spływ Dunajcem.

Rok 1947 obfitował w wycieczki. Natomiast w sierpniu 1 Żeńska Drużyna Harcerek zorganizowała obóz w Jamnicy koło Nowego Sącza. Opiekunką naszą była pani prof. Fuskowa – uczyła nas francuskiego. Drużynową była Wanda Buszkówna, a obożną zostałam ja. Po raz pierwszy poznałam słowo „limit” i zapoznałam się z kartotekami „przychodu i rozchodu.” Spałyśmy na siennikach, samodzielnie wypchanych słomą. Jadłyśmy to, co

same ugotowałyśmy. A chleb przynosiłyśmy w plecakach z oddalonej o 3 km piekarni. Natomiast ja musiałam zadbać, by wystarczyło pieniędzy do końca obozu.



1 Żeńska Drużyna Harcerek w Muszynie. Klęczą od lewej: Maja Jędrzejowska, Barbara Szeń, Janina Bujarska, Elza Gerc, Scholastyka Urbanik, NN. Stoją: Maryla Wójcik, Urszula Sikorska, Józefa Wiśniewska, Krystyna Szeń, Zofia Kurtak, Janina Wiśniewska, Stanisława Łuczyńska, Halina Gorzkowska, Maria Śliwińska, NN. Drugi rząd: Elżbieta Swystoń, Rena Bujarska, po prawej ostatnia Halinka Karasińska

<sup>2</sup> Glorietka to zwieńczenie wieży lub otwarty pawilon ustawiany na wzniesieniach, albo zamknięciu osi widokowych. Wspomniana fotografia na glorietyce jest niestety słabej jakości (przyp. red.).

Ale za to te podchody nocne pod obóz harcerzy... Pilnowanie masztu przed ich „inwazją”. Wspólne ogniska, śpiewy – to była frajda!

Dzisiaj to normalne, że dzieci, młodzież jadą na kolonie, obozy, zimowiska. Skontrolowane skrupulatnie przez Sanepid, „wyposażone” w cały zespół kierowników, wychowawców, kucharek i zaopatrzeniowców. Śpią w budynkach, a jeśli już w namiotach, to na łózkach, w śpiworach, jedzą odpowiednio kaloryczne jedzenie. Nie dziwota, że często wracają do domu rozczarowani i znudzeni.

W roku 1947 ks. Kazimierz Zatorski zorganizował nam jeszcze wycieczkę do Krakowa, gdzie zwiedziliśmy Wawel (jedno ze zdjęć podpisałam „Emaus 33”, być może tam nocowaliśmy, nie pamiętam). Byliśmy także w teatrze na dramacie Rostworowskiego *Judasz z Kariothu*, gdzie tytułową rolę grał ponaddziewięćdziesięcioletni Ludwik Solski. Podróżowaliśmy również do Częstochowy, którą to wyprawę opisała pani Janina Aleksander.



Na Wawelu – czerwiec 1947 r.

A na ferie (chyba) zimowe pojechaliśmy do Zakopanego. Wprawdzie w Muszynie widać szczyty Tatr w pogodny dzień, ale nikt z nas tam wcześniej nie był. Jechaliśmy kolejką na Kasprowy Wierch, na Gubałówkę, schodziliśmy Doliną Kościeliską. Na Giewont zabrakło chyba czasu, bo nie pamiętam, żebym wtedy tam była.

Wypadki takie, jak na Baszcie, Garby, Koziejówkę zdarzały się prawie w każdą niedzielę. Po mszy św. brało się do chlebaka kawałek chleba lub kilka ziemniaków, trochę soli, masła... i w góry! A zimą jeździło się na sankach, nartach, łyżwach. Ulica Ogrodowa wspinała się nadawała dojazd sankami. Rozpoczynało się wysoko, koło willi „Aleksandrówka”, potem ostry zakręt i w dół – aż do ulicy Piłsudskiego. Wtedy nie było samochodów, sanie zaprzężone w konie po południu i wieczorem już nie jeździły, więc było bezpiecznie.



Na Kasprowym Wierchu w II klasie Gimnazjum (1947 r.)

Urządzaliśmy także kuligi. Pamiętam taki jeden, zorganizowany znowu przez ks. Zatorskiego (moja siostra Barbara wspomina to wydarzenie jako „opłatek”). Piękny, słoneczny zimowy dzień, biel śniegu, sanki ciągnięte przez konie i gdzieś na polanie w lesie rozpalone wcześniej ognisko, pieczone ziemniaki i gorąca herbata. Tego się nie zapomina.



Zakopane 1948 r. (Krystyna Szeń, Urszula Sikorska, Janina Wiśniewska)  
Wszystkie fotografie ze zbiorów autorki

A łyżwy? Mój wnuk nie może zrozumieć, że przykręcaliśmy je do butów – najlepiej o spodach drewnianych. W obcasach był wydrążony otwór, metalowa skuwka, a przed łyżwy dokręcało się korbką do buta. Jeszcze gorzej wyglądała sprawa nart. Okupanci rekwirowali wszystkie narty o długości powyżej 150 cm. Nie było u nas wtedy zakładu produkującego narty. Stolarze domowym sposobem wyginali oszlifowane deski, nadając im odpowiedni kształt, a skórzane troki służyły za wiązadła. I to do jakich butów? Takich, jakie kto miał. Najczęściej były to modne wtedy tzw. kapce – filcowe buty obszyte skórą. Nawet były one ładne, wygodne i ciepłe, ale na pewno nie do jazdy na nartach.

Dziś młodzież często siedzi przed telewizorem, komputerem, gra w okrutne gry, pisze do kolegów „esemesy”, kalecząc mowę polską, skrótami, slangiem, spolszczoną angielszczyzną.

Możliwe, że to ja nie mam racji. Świat się zmienia, przybliża. Rozszerza się zakres nauki. Młodzi są zawsze „inni” od dorosłych, pełni zapału, zbuntowani – może tylko na odmienny sposób. Na pewno lepiej umieją posługiwać się komputerem, Internetem, komórką. Jeżdżą po świecie.

Może po prostu jestem zazdrosna, że przez tę wojnę za szybko dojrzelśmy, mieliśmy inne dorastanie? Coś nas ominęło? Oglądając stare zdjęcia – tak wiele osób z tych fotografii nie ma już wśród nas – z łezką w oku myślę, że były to jednak lata piękne...



Niedzielny wypad w góry 1948 r. (Barbara Gajewska, Tadeusz Wójcik, Janina Wiśniewska)



27 IX 1948 r. – fotografia dedykowana „Pchelce” (Halina Hettper, Stanisława Łuczyńska)